Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 5. Poznań dnia 29. Kwietnia. 1839.

Literatura zagraniczna.

***Mémoires d'un prisonnier d'état par Alexandre Andryane**, quatre volumes, à Paris chez Ladvocat.*

Kiedy przed niewielu laty wyszły były z druku pamiętniki *Silvio Pellico*, pod tytułem: *Mi prizioni* (moje więzienie), z nadzwyczajnem czytane były upodobaniem, i w krótkim czasie na różne przełożono je języki; tak zasmakowano, czy to w nowym zupełnie rodzaju piśmiennictwa, tak świeżo ze smętnych kolei życia wyjętego, czy w czułym sposobie przedstawienia rzeczy autora, który sam cierpiał i sam pisał. Téj saméj treści, lubo więcéj daleko w wypadki urozmaicone są powyższe pamiętniki p. Alexandra Andryane, współwięźnia *Silvio Pellico*. Nie wiązany temi, co on względami, podaje czytelnikom dokładny wywód całéj sprawy, i rzetelne charakterystyki osób. Lat dziesięć najściślejszego więzienia (od 1822 do 1832 r.) zda się na pozór nie nastręczać, jak jednostajne cierpienia. Ale umiał autor przenieść czytelnika we własne położenie, przejąć go całą okropnością samotnego ociemnionego więzienia, i zrobić przeto dlań, jak dla siebie interesownemi, i najdrobniejsze okoliczności, które stęschniona a czuła dusza, ciekawie i łakomie chwyta. Na tle tyloletnich cierpień skreślił z siebie obraz rozrzewniającego do rodziców, do rodzeństwa, do ziemi rodzinnéj przywiązania; najszlachetniejszego poświęcenia się dla ludzkości i przyjaźni; wreszcie obraz pięknych religijnych uczuć.

Podły zbrodniarz i przez najdłuższe więzienie, z czystych pobudek nie nawróci się do Boga, bo z miłością bliźniego, któremu szkodził, zatarł i miłość twórcy samego. Ale kto, choćby w błędzie, poświęcić się chciał dla dobra bliźnich, i stał się przeto winowajcą, tego serce, choćby olśnione dotąd rozkoszami życia, w samotności więzienia otworzy się dla religii, i ogarnie gorącą miłością istność najwyższą, najdując tam jedyną rozkosz dla duszy tęschnéj, osieroconéj, obranéj z wszystkich innych pociech życia. Dla tego to w pismach tego rodzaju, przebija się tak czyste i korne więźnia usposobienie.

Oto własne autora słowa w przedmowie do pamiętników, jako odstrzelone z nich promienie charakterystyczne:

„Wziąłem się więc do pióra, by w czystości sumienia opowiedzieć, com widział i com ucierpiał, od chwili, kiedy się zawarły za mną rygle więzienia w Medyolanie, aż do godziny, w któréj otworzyły się dla mnie bramy Spielbergu: staraniem ukochanéj siostry mojéj, co mi w nieszczęściu była gwiazdą opatrzną, i przez lat dziesięć, z takiem poświęceniem się, nad uwolnieniem mojem pracowała.

Rozumiem, że żaden wpływ z sprzeszłości, nie zmieni ani umiarkowania, ani ściśléj prawdy, których trzymać się postanowiłem. Choć nieszczęścia moje od ludzi pochodzą, nie mam przecież dla nich w sercu ani żalu, ani zemsty. Cierpienia, choć wielkie i długie, poniesione z rezygnacyą i mocą umysłu, tych chyba tylko draźnią i przepawają goryczą, co w nieszczęściu nie umieli się podnieść do tego przekonania, że nie wola ludzka, ale inna, wyższa siła włada.

Com stracił, com ucierpiał dla sprawy, którą ująłem z takim zapałem, Bóg jeden wie. On dopuścił, on sam mocen wynagrodzić mi poniesione ztąd ofiary.

Nie ubolewam nad przeszłością, chyba dla łez, które dla mnie wylały drogie sercu mojemu istoty; a los mój przyszły oddałem w ręce Boga. Mam nadzieję w nieprzebranéj jego dobroci, że mnie połączy z współwięźniem, co jeszcze jęczy w kajdanach;*) z przyjacielem dni goryczy, któremu winienem więcéj, jak życie; z towarzyszem cierpień tylu, co mnie nauczył być wyższym nad nieszczęście; z mężem onym pełnym talentu

*) Memoary te napisane już w r. 1834., wyszły z druku dopiero w cztery lata późniéj. Hr. Confalonieri, o którym tu mowa, ułaskawiony 1837. r., był wówczas jeszcze w więzieniu.

i serca, którego bolesny obraz zawsze mi stoi na pamięci, i nie dozwala kosztować słodyczy nadspodziewanéj wolności. Dopiero wolność moja będzie zupełną, gdy sobie będę mógł powiedzieć, i on także już wolny, — niech błogosławione będzie imie Boskie! *L.*

Literatura krajowa.

Poezya.

Róże.

O! sercu najmilsze różyczki kochane,
O! z kwiatów rodzinnych najdroższe;
Ach! od was choć blaskiem poranku owiane
I lilie we wdziękach uboższe! —
Ach! róży, ach! róży,
Wśród ziemi rozłogów,
W téj życia podróży,
Tak wiele jest głogów;
Ach! róży, — ach! róży! —

Śpi dziecię w kołysce w snów błogich objęciu,
Jak gwiazdka, nim niebo się schmurzy;
Lecz ze snów któż szczęście przepowie dziecięciu,
Gdy lubą uczuje woń róży? —
Ach! róży, ach! róży,
Wśród ziemi rozłogów,
W téj życia podróży,
Tak wiele jest głogów;
Ach! róży, — ach! róży. —

Młodzieniec po górach, przepaściach, dolinie,
Przebiega po kwiaty na wianki;
Lecz z kwiatów najmilsza jest róża dziewczynie,
Różyczką wieńcz skronie kochanki!
Ach! zerwij ją świeżą,
I miłą i ładną,
Nim gromy uderzą
I listki opadną;
Ach! zerwij ją świeżą. —

A kiedy głos braci powoła Cię w szranki,
Ty w domu nie gnuśnij niegodnie;
Lecz mężnie, z szablicą i z różą kochanki,
Pobiegnij wesoło — swobodnie! —
Ach! róży, szablicy,
Jak lubéj usteczek;
Przyniesiesz dziewicy
Wawrzynu listeczek,
Ach! róży — szablicy!

A jeśli wśród boju polegniesz, nad Tobą
Współbracia usypią kurhanek;
I przyjdzie dziewica odziana żałobą,
Porzuci ze świeżych róż wianek! —
I róża zakwitnie
Na grobu murawie,
Tak cudnie, zaszczytnie,
Jak pamięć o sławie;
Tak róża zakwitnie! —

E. W.

Dolina Mnikowska pod Krakowem.

Ztąd o dwie mile w zachodniéj stronie
Śliczna Mnikowska dolina;
Wypieszcza kwiaty na swoim łonie,
Jak młoda wiejska dziewczyna.
Między skałami jak łza na twarzy,
Jak wąż na posłaniu z kwiatów,
Tam przez sen gada i ciągle marzy,
Strumień na łożu z bławatów;
A w prawo, w lewo skaliste grody,
Strumień w objęciu chwyciły;
Zamki to z głazu, herb to przyrody,
Związek harmonii i siły.
Tam w dnie świąteczne w wiosennéj porze,
Jadą paniątka z Krakowa,
Ażeby ujrzeć (żal się mój Boże!)
Uroczą dzikość Mnikowa.
Jadą więc, jadą wygodnym koczem,
I przyjeżdżają w południe;
Przez chwilę patrzą, pochwalą, — poczém
Mówią: że na wsi jest nudnie.
Więc przywiezione wypiwszy wino,
Wracają znowu do miasta;
Ach! nie dla takich, śliczna dolino
Twe łono trawa porasta.
Ten tylko godnie wielbi twe wdzięki,
Kto pieszo zwiedza twe skały;
Kto z ich wierzchołka wschodu jutrzenki
Ogląda widok wspaniały.
Kto się nie boi, żeby kamienie,
Ciernie, lub urwiska skały;
Rozdarły jego modne odzienie,
I białe ciało zdrapały.

G. E.

Paweł Wyhowski.

Powieść kozacka.

(Przez M. Czajkowskiego.)

I.

„Maryo! Maryo! i ty niechcesz mojego szczęścia, i ty mnie odpychasz?“ tak mówił młodzieniec pohożéj urody do dziewicy stojącéj obok siebie; ona spuściła kraśne czoło ku ziemi, błyszczące oczy zamgliła rzęsą, osłoną dziewiczego wstydu, półgłosem przemówiła: „Pawle, ja ciebie kocham!“ — „Ty mnie kochasz, a jechać niechcesz ze mną! Maryo, tam za skałą, nad brzegiem rzeki, czeka mój wrony — chodź moja luba, moja

jedyna! błyskawicą polecimy na Wołosze, za Dunaj, — tam inni ludzie, inne obyczaje — tam nie powiedzą: ona hrabianka, a tyś prosty szlachcic, i to kozaczego rodu, nie stworzeniście dla siebie; Maryo! jedź ze mną!“ ukląkł przed nią i całował serdecznie jéj rękę; ona drobnéj rączki niewydziera, zda się, że z lekka przyciska swoję dłoń do jego dłoni: „Pawle, niemogę! ja mam rodziców .... czakajmy .... Bóg się zmiłuje nad nami.“ — „Bóg się zmiłuje, ale nie twój ojciec!“ porwał się z klęczek „Jaśnie Wielmożny hrabia i marszałek, pamiętasz, co wczoraj powiedział: panie Pawle, moja córka twoją być nie może, inne mam względem niéj zamiary — i odwrócił się odemnie, a ja jak żak stałem, słowa nieprzemówiłem — ale ....“ zębami zgrzytnął i tem zgrzytnięciem w pierwszym poskoku osadził wybuch słów. Dziewica złożyła ręce dłoniami, błagalny wyraz czarnych oczów zbrylantował się przezroczystą łezką: „To mój ojciec, nie bluźń przeciw niemu.“ — „To twój ojciec! — prawda — przebacz!“ i znowu padł na kolana i schwycił ją za szatę: „Maryo, uciekaj zemną! ojciec przebaczy.“ — „Nie, nigdy tego niezrobię — matka by moja z rozpaczy umarła; — Pawle, i ty masz matkę!“ — „Mam,“ westchnął, zwiesił głowę ku ziemi „wszystko dla mnie stracone!“ — „O, nie! mój miły, ja ciebie kochać będę po wieki wieków! nigdy niczyją niezostanę — czas, cierpliwość, a kiedyś będziemy szczęśliwi.“ — „Czas, cierpliwość!“ powtórzył młodzieniec z gorzkim półuśmiechem, którym zazwyczaj dławi się płacz: „puste słowa dla kochającego serca, Maryo, ty mnie nie kochasz!“ — „Ja ciebie nie kocham?“ dziewica osunęła się w jego ramiona, po raz pierwszy ich usta zetknęły się pocałunkiem nieśmiałym, ale słodkim, ale rozkosznym. On nieśmiał swoich ramion opleść w około jéj wiotkiéj kibici, przybrudzoną myślą kalać święte uczucie miłości — na sercu mu dziwnie, w duszy niepojęcie. O! on wierzy teraz, że ona jego kocha!

Wtém coś po piasku zaszerkotało, zaszeleściało gałęziami, — dziewica odskoczyła: „Pawle, bądź zdrów! noś moję pamiątkę!“ i rzuciła mu zwinięty papier; — sama mknęła krętą ścieżką, kilka razy z pomiędzy drzew mignęła białą suknią, i znikła, jak błędny ognik, jak przelotna gwiazda, które po zniknięciu z przed wzroku oczów, jeszcze igrają z wzrokiem myśli.

Młodzieniec splótł ręce palcami „Maryo! Maryo!“ i niepobiegł za nią; jak po zjawiska cudu, tak on gonił myślą tę stronę, gdzie ona przepadła dla jego oczów. Rozwinął papier, tam krzyżyk złoty na sznurku osnutym z kruczych włosów Maryi, całował włosy, całował złoto, całował papier, a namiętnie: bo ona niebiańska dziewica na to niepatrzyła. A potem, jakaś mu dziwna myśl przyszła do głowy, wstał i skoczył w tę stronę, zkąd go doleciało szerkotanie i szelest, jak dziecko chciał karać ptaka, czy zwierza, co spłoszył dziewicę, panią jego serca — i nic nie znalazł.

Błoga cisza dokoła, nawet ranny wietrzyk niepodmuchiwał lekkiego puchu kwiatów, a złote promienie słońca swobodnie zwierciedliły się w bujnych kroplach rosy, świat na powitanie białego dnia umilkł, i niejako niemem podziwieniem dziękczył bożéj jasności. Ten mirczy stan świata, opacznie przystaje do uczucia młodzieńca; swoim spokojem zwarzył w jego sercu przelotną chwilkę błogości, i ocknął jakieś niemiłe wrażenie. Stanął, wydobył złoty krzyżyk, ale nie pocałował — usta mu się boleśnie przekrzywiły: „dała mi krzyżyk na drogę! — dobrze mi tak, po com prosty szlachcic pokochał hrabiankę; nie, już ja jéj niezobaczę — niezobaczę jéj matki!“ i pociągnął dłonią po oczach, jakby ztamtąd łzy się dobywały, choć i oko i źrenica suche.

Wracał do swojego konia, ale krokiem leniwym, coś go trzymało w tym zaczarowanym gaju; ledwie uszedł kilka kroków, ujrzał postać człowieczą klęczącą pod drzewem: głowa odkryta i łysa, broda żółtawa, jak paczos wybielonego lnu, bury habit przyzłacał się pod promieniami słońca: to mnich kapucyn, ksiądz Tadeusz, odprawiał poranne pacierze, pod sklepieniem niebios, przed obliczem Boga. Młodzieniec się zatrzymał, mnich skończył pacierze, powstał i zbliżył się do niego; na sędziwéj twarzy starca wydobył się wyraz przychylności, jakby rodzicielskiéj — zaschłą rękę podał młodzieńcowi: „panie Pawle, moje dziecko, co tu porabiasz tak rano? we dworze muszą spać jeszcze.“ — Młodzieniec ucałował rękę mnicha, bo to jego dawny nauczyciel, opiekun lat dziecinnych: „Księże Tadeuszu, ja ich budzić niemyślę, przyjechałem po raz ostatni, zobaczyć te miejsca, i pożegnać na zawsze.“ — „Co ci jest? moje dziecko, — gdzież ty wyjeżdżasz?“ — „W dalekie, nieznane kraje, już ja tu niemam co robić — podobno już się z sobą widzieć nie będziemy, księże Tadeuszu, pobłogosław mnie.“ — „Tyś chory, Pawle.“ — „Oj, tak chory, tu na sercu,“ — i wziął się ręką za serce, „ale w głowie nie! księże Tadeuszu, ty wiesz, jak ja kocham Maryą, — on wczoraj nieproszony odmówił mi jéj ręki, o ledwie że wejścia do swego domu niezakazał.“ — „Nierozpaczaj, mój kochany, ufaj w pomoc Bożą, to się wszystko da przerobić. Pan marszałek zastanowi się, zmienić może swoję wolę.“ — „On hrabia, zmieni swoję wolę? księże Tadeuszu, żebyś ty widział, jak on wczoraj napuszony kupionym tytułem z wysoka gadał do mnie, do mnie szlachcica, którego praojciec wojewodował Ukrainie, hetmanił takim wojskiem, jakich on i jego

ród cały nigdy niewidział i widzieć nie będzie!" Zasiniała i sprężyła się żyła na czole młodzieńca, postać jègo zdawała się rość na drożdżach gniewu, twarz piększała dzikim, kozaczym zapałem; z całéj siły ręką klasnął o udo: „i na toż to przyszli Wyhowscy, prawnuki Jana, aby jakiś tam hrabia Siryczyński nie za zasługi, ale za pieniądze ujaśniewielmożniony, nosa przed nimi zadzierał — ha! ha! wczorajbym go nauczył, — ale Maryo! Maryo! tyś tam była, ty jego córka — i mnie serca zabrakło, zdrętwiało mi ramie — ale czekaj, co się przewlecze, to nieuciecze — jeszcze nieschyrlała kozacza szlachta w Owruckim i Zytomirskim — jeszcze do ostatniego kozacy nie wymarli na Ukrainie! są bracia Zaporożce za Dunajem — przyjdzie czas, że po naszemu, po kozaczu weźmiemy się do żelaza — o! zrobimy my wam ład, panowie hrabiowie, panowie barony! chcecie zapomnieć, żeście polska szlachta — my wam przypomnimy — my dzieci polskiéj ziemi! przyjdziemy zapytać o rachunek wasze sumnienia — przyjdziemy, nie z uniżoną pokorą, ale z proźbą, co to krew toczy i kości chrupocze! oh, zahulamy sobie, zahulamy! zobaczysz, panie hrabio, marszałku, sowietniku i kawalerze!" głos mu się zatknął w piersiach, a jeszcze ustami ruszał, iskrzył oczyma i groził ręką.

Mnich milczał, nieprzerywał gradu słów partych gniewem obrażonéj dumy i boleścią rozranionego serca, tylko w myśli modlił się: Boże, opamiętaj to twoje dziecię! Może zgadł młodzieniec niemą proźbę mnicha, bo porwał go za rękę: „księże Tadeuszu, ty myślisz, że ja oszalałem — o nie! nie! ja wiem, co mówię, co robię i co zrobię — zobaczysz, czy ja Paweł Wyhowski nie zrobię drugiéj koliszczyzny, drugich Konotopów. Krwi się napiję! we krwi się skąpię! posypię z ludzkich kości kopce wysokie, jak stepowe mogiły! — zobaczysz księże Tadeuszu!" — „Bogdajem ja nie wszystko to widział — panie Pawle, a twoja matka?" — „Matka moja! matka!" i nagle twarz młodzieńca się zmieniła, sina żyła z czoła zeszła, siwe oko nieiskrzy się żarem, ale się wilży łzą: „o moja dola! nieszczęśliwa dola! — już ona niezobaczy swego syna, i ja jéj niezobaczę!" — „Tyś jéj jedyna podpora, pociecha — Pawle — i masz ty serce, opuszczać ją na stare lata? — przypomnij dziecinny wiek, jak ona ciebie karmiła, piastowała — tyś był źrenicą jéj oka — i teraz, jak ona ciebie kocha." — „Biedna Matka! ty wiesz, księże Tadeuszu, co się dzieje w mojem sercu, tyś je kształcił — oh! jak ja miłuję moję matkę!" — „Łaska Boża z tobą, opamiętaj się mój synu! cóżby ona schorzała, obarczona wiekiem, porabiała bez ciebie, jedynéj podpory — ona niema innéj opieki oprócz Pana nad Panami, Twórcy naszego w niebie, a ciebie na ziemi — niezostawiaj matki na starość sierotą na tym świecie." — „Przestań ojcze, bo mi serce pęknie." — „Moje dziecko lube, uspokój się, wróć do matki, ona ciebie do macierzyńskiego łona przyciśnie, i będzie ci słodko, lubo, bo dopełnisz powinności syna; kiedyś i ciebie Bóg dziatkami obdarzy. Bóg na téj ziemi nawet, za dobre dobrem nagradza — one twoje dziatki sowicie ci wypłacą miłością za miłość. — Nie dla mnie takie szczęście, księże Tadeuszu." — „Nierozpaczaj, moc Boża wielka! on świat nieraz zmienił, i dla czegóżby niemiał zmienić serca człowieka? — wracaj do domu! ufaj, marszałek się rozmiarkuje."

Na samo spomnienie marszałka zczerwieniał się młodzieniec: „ja wracać do domu, opowiadać mojéj matce obelgę i nieszczęście moje i patrzeć na jéj cierpienie? nie, nigdy! słuchaj księże Tadeuszu: o łaskę, o dobrodziejstwo błagam ciebie, ciebie mojego nauczyciela, duchowego ojca, powiedz biednéj matce, że ja pojechałem gdzieś, tam, het na koniec świata! — ot tak sobie — powiedz wszystko, albo nic nie mów! — zrób co chcesz — pożegnaj ją odemnie!" — z cicha dodał: „pożegnaj Maryą — a teraz mnie pobłogosław" i schylił głowę przed mnichem. — Mnich ujął za głowę i usta drżące przyłożył do jego włosów: „Pawle, moje dziecko! mój synu! zostań z nami; — Bóg pobłogosławi twojemu życiu, — my ci będziemy dziękczyć wdzięcznością, zostań z nami! — pójdę na kolanach błagać marszałka." — Młodzieniec uściskał go, wyrwał się z jego objęcia: „Niemogę! ojcze Tadeuszu, bądź zdrów!" i jak wściekły wybiegł z gaju i spuścił się nad rzekę.

Mnich, chwiejącym się krokiem, szedł za nim, tężył w tamtę stronę stroskane oko, złożył ręce do modłów: „Boże strzeż jego duszę! błogosław mu!"

Świętobliwy starzec darmo za nim wzrokiem gonił; już tentent czwałującego konia zahuczał pomiędzy nadbrzeżne skały, i gęstym rozgłosem rozbijał się po gaju. W Teterowie pluskała woda śmigana kamykami zwiru miecionemi z pod końskich kopyt. — Mnich stanął, oczy pełne wiary wzniósł ku niebu: „Boże wielki! pobłogosław mu!" i resztę modlitwy za dzieckiem swojego wychowania kończył myślą chrześciańskiéj pokory i błagalnym wyrazem twarzy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Bitwa pod Beresteczkiem 1651.

W tych dniach wyjdą w Poznaniu z druku: „Pamiętniki Albrychta Stanisława Radziwiłła, wydane przez Ed. hr. Raczyńskiego. Odkładając rozbiór tego, do dziejów Polski za Władysława IV. i Jana Kazimierza nie-

zmiernie ważnego dzieła, do późniejszych Nrów, umieszczamy tymczasem z niego opis bitwy pod Beresteczkiem, jako piękny ustęp z wojny z kozakami za panowania ostatniego Wazy. Chmielnicki nieprzestając na korzyściach, które mu i całéj kozaczyznie nieszczęsny układ zborowski zapewniał, oddany opilstwu, miotany na przemian dumą, nieufnością i obawą Lachów, marzył o udzielnem państwie kozackiem pod protekcyą Turcyi lub Moskwy, knował coraz nowe zamachy przeciw Polsce i wciągał potajemnie jéj nieprzyjaciół do sojuszów z sobą. Takowe postępowanie kozaka oburzało Jana Kazimierza, a niebezpieczeństwo widoczne przebudziło naród, na chwilę przynajmniéj, z głębokiego letargu. Postanowiono jednomyślnie oprzeć się zgubnym zamachom kozactwa i połamać szyki w rachubach Chmielnickiego. Wydane zostały wici na pospolite ruszenie, ściągniono zewsząd żołnierza, król sam udał się do obozu, wojsko, którego duszą był dzielny książę Jeremiasz Wiśniowiecki, ruszyło na Wołyń przeciw nieprzyjacielowi.

„12. Czerw. Przybyło (mówi Radziwiłł) do obozu kilka set żołnierzy Dönhoffa i podskarbinéj kor., wdowy. Po południu król z niektórymi senatorami, obierał miejsce dla szlachty, gdzieby stanęła, bo już blizko obozu była. Ku wieczorowi dano znać, że naszych dwie chorągwie pod Kozinem Tatarowie znieśli. Tego dnia kozaków 18 tysięcy, Tatarów kilka set oblegli Ołykę i pierwszym impetem wpadli w przedmieście, nie mało swoich straciwszy.

13go Czerw. Znowu kozacy napadli na przedmieście Ołyckie, lecz odpędzeni są. Widząc tedy mój kommendant niebezpieczeństwo przedmieścia, spalił je.

14go Czerw. Tedy wszystkiemi siłami kozacy chcieli wpaść do Ołyki, lecz ich nie dopuścili, tak piechota zamkowa, jako i sami mieszczanie. Wielką tedy klęskę odniózłszy kozacy, cofnęli się nazad i zaczęli traktować o pokoju, domagając się 600 tysięcy, nasi zaś 3 tysiące ofiarowali, a potem na 7 tysięcy zł. zgodzili się; a oto przed wschodem słońca ostatnią siłę wywarli na miasto kozacy, lecz gdy im dwie chorągwie i 3cia tatarska jest wzięta i gdy wielu ich i starszy był raniony z dział, 15go odstąpili od miasta, za którymi poszli w pogoń moi Węgrowie i dragonia niemiecka, których było 200, i tak za protekcyą Boską i Matki Prz., Ołyka jest obroniona.

Temi dniami Zabuski, kozak, wierny rzeczypospolitéj, napadł na Tatarów i dobrze z nimi się sprawił. Chorąży kor., zostawiwszy swoje pułki pod Beresteczkiem, wrócił się do króla i oznajmił o przybyciu nieprzyjaciela; toż samo potwierdził przyprowadzony Tatar. Zaraz tedy otrąbiono, aby zostawiwszy wozy, wszyscy nazajutrz ruszyli się.

16go Czerw. Król z wojskiem, krom szlachty, półtory mili uszedł aż do mostu, gdzie póty stał dla tumultu, aż wojsko nasze przeszło.

17go Czerw. Wojsko nasze dwie mile uszło, król sam szykował obóz; książę Ostrogski, Dominik, Wda krak. kilka chorągwi królowi ofiarował. Król dziś wziął wiadomość o dobrze obronionéj przez Lasockiego, porucznika mego, Ołyce, co król wziął za dobry znak dalszego zwycięztwa.

18go Czerw. Stanął król pod Lubaczewką; chorąży kor. przysłał kozaka, który dobrowolnie przyszedł do obozu; ten powiadał o siłach Chmielnickiego i o złączeniu się jego z chanem tatarskim.

19go Czerw. Szedł obóz nasz tą stroną rzeki Styru, ku Beresteczkowi. Chorąży kor. poszedł przeciwko kozakom, powracającym z oblężenia ołyckiego, która expedycya dobrze się mu powiodła, bo 1000 kozaków wyciął, 400 wozów pełnych prowizyi do obozu przyprowadził, więźniów uwolnił i żywnością naszych żołnierzy pocieszył, gdyż kozacy całe niemal Polesie byli zrabowali i mnie 17 folwarków, dwa miasteczka, a wsie niemal wszystkie spustoszyli i popalili.

20go Czerw. Obóz nasz odpoczywał; tymczasem przez rzekę przejście gotowano, a król opatrował miejsce sposobne na uszykowanie wojska.

21go Czerw. Na temże miejscu stał obóz; wieczorem otrąbiono, aby niemieckie pułki przeprawowały się przez rzekę.

22go Czerw. Tak się stało. Różna też szlachta z swojemi chorągwiami przybyła do obozu.

23go Czerw. Obóz cały przeprawił się przez rzekę. Kozak pochwycony twierdził, iż blizko jest Chmielnicki. Z Litwy przyszła wiadomość do podkanclerzego lit., o wszczynającéj się rebellii, około Mohilewa i Ciecerska.

24go Czerw. Gdy nasz cały obóz przeprawił się na tamtę stronę rzeki, pop ruski za pewne twierdził, że Chmielnicki złączywszy się z chanem, idzie ku Beresteczkowi.

25go Czerw. Szlachta szła za królem i przeprawowała się na tamtę stronę, gdzie stał obóz. Od hetmana lit. przyszły listy, że kozacy byli oblegli Homel, lecz są odpędzeni od naszych.

26go Czerw. Wojewoda krak. pokazał się przed królem dobrze uszykowawszy obóz; około zachodu słońca otrąbiono o pomknieniu daléj obozu.

27go Czerw. Część wojska poczęła iść ku Dubnowi, a tymczasem przybiegają, dając znać, że Bohun z 30,000 i z wielu Tatarów, tuż blizko jest i Chmielnicki z chanem nie daleko za nim ciągnie; przeto kazano naszym się wrócić i król wysyła silny hufiec, któryby co

pewnego o nieprzyjacielu przyniosł. O południu otrąbiono, aby którzy za obozem idą, pod jednę chorągiew się ściągnęli, obiecując im nagrodę. Czarniecki wysłany na podsłuchy z 3ma tysiącami, nic znacznego nie sprawił, krom tego, że kilku szpiegów kozackich przyprowadził, którzy przed 8 dni wyjechali byli z obozu Chmielnickiego. Wieczorem otrąbiono, aby żaden koni na paszę nie wypuszczał, aż podjazd się wróci.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Słów kilka o duchu wychowania narodowego.

(Dalszy ciąg.)

Nie można jednak zaprzeczyć, ażeby żywioły jakkolwiek dla ludu mało przystępne, nie miały wpływać na jego życie, żeby nie wywierały skutków, i w pewnych nieobjawiały się formach. Lecz właśnie ta prawda nasze mniemanie popierać się zdaje. Jeźli w wieku naszym nie rzadki jest pozór wyższego życia, brak jest ogólny trwałego i w krańce wieczności zakrajonego wyrazu. Można wprawdzie dostrzedz chęci w szczytniejszych nawet kierunkach; ale widowisko to przelotne zaledwie kilku widzialne, słaby ślad zostawia po sobie i nie rozjaśnia ciemności; bo to błędne lub fałszywe światła, nie zaś stałe słońce, które raz niebieskim roztoczone ogniem, grzeje i świeci szeroko nawet pośród burz i chmur nawały. Ztąd też i ciało w pojedyńczych tylko drga czastkach, ulotną przejęte błyskawicą, ale się nie dźwiga w całości z pod brzemiennéj pleśni, która go do ziemi chyli. Podobnie wszędzie i we wszystkiem chwilowe tylko błyszczą punkta albo bawidła obecny tylko czas mamiące; zewnętrzna pozłota, miasto treściwéj rzeczy. Tak w swobodnéj myśli dziedzinie błyszczą litery na miejscu ducha, i święty sztuki pierwiastek, zewnętrznéj tylko żywota dotknął skorupy; bo Boskość, wzór ów jedyny zatarł nałóg powszedniego życia, i główna dążność zaspokojenia chwilowych materyalnych potrzeb. Tak więc, co dzisiaj wzniosłą bierze postać, jutro się w czczości rozchodzi; i tak następnie z gruzów jednego powstaje drugie pod nazwą wielkości, aby dzień jeden pożywszy, jak poprzedzające w prochu runęło. A nowa coraz rzesza głodnych przybylców, miasto żywotnéj karmi, znikomy dym łykając, błądzi bez pociechy w zaklętem kole ziemskiéj niedoli. Podobnie i na zewnątrz z tychże przyczyn też same rodzą się skutki. Zważmy tylko dzieła budowniczéj sztuki w naszych czasach: te błyszczące i smakowne na pozór gmachy, chwilowa ułuda oka zaledwie nad poziom wzniesiona, nosi już zarysy śmierci i upadkiem grozi. Porównajmy je z gmachami średnich wieków, albo z temi wielkiemi szczątkami starego świata: zawarty w nich wyraz siły, fantazyi, i pewien rodzaj olbrzymiéj bujności ducha, dziś jeszcze szydząc z czasu uroczym do duszy przemawia podziwem. A jeźli te zuchwałe imaginacyi pomysły nie odpowiadają naszym prawidłom estetyki, jest w nich jednak pewna wieku tajemnica, która niewysłownem wrażeniem do wszystkich przemówi czasów, gdy przeciwnie nasze budowle nieme, jak materya, która je składa, żadnym do ducha nie mówią wyrazem, bo te lepianki czasowe jutra niedożyją. A zwróciwszy oczy na istotę naszych stósunków towarzyskich — na tę zewnętrzną okazałość, a wewnętrzną bezduszność wyższych stanów, na tę drobiazgowość form, do których taka przywiązana waga, na tę nieczułość i brak zmysłu wyższego życia, na te kierunki, w których wszystkie stany z wewnętrzną ku sobie nienawiścią krążą w jedynym celu dostatecznego żeru na dzisiaj: przytém zaś na owe teatralne sztuki wzajemnego ułudzenia siebie, i w prawdziwym braku rzeczy zastawiania sceny wydatnemi dekoracyami; zebrawszy w jedno wszystkie te życia naszego zarysy: możnaż bez uchybienia prawdzie, wiek, w którym żyjemy zwać wiekiem oświecenia!

Nie należy wszakże mniemać, ażeby przy owéj niepocieszném fizyognomii wieku, żadnego niebyło rysu, któryby piękniejszą zapowiadał przyszłość. I owszem, błogo pomyśleć, że nie pierwsze to w téj mierze uwagi, i tu i owdzie w samem już życiu pojawiające się pomysły, są niejako zwiastunami światła, które z za grubéj mgły lubo słabym jeszcze strzela promykiem. Jak bowiem indywidualna świadomość własnych słabości, odgrzebuje uspione siły, i ich potęgą wznosząc się nad pierwsze, zbliża nas do przybytku mądrości; podobnie dzieje się z społecznością, a następnie i z ludzkością całą. I to jest właśnie, co dzisiaj wzrok nasz zkąd inąd zasępiony rozjaśnia. Lecz jakkolwiek ważną byłoby rzeczą postąpić za nicią tych myśli i wykryć, jak daleko jest owa pożądana kryzys; który naród, jak i kiedy zniewalającym dla ludzkości zajaśnieje wzorem; rzecz ta mówię dotkniętą tylko być tu może, leży bowiem po zaobrębem tego pisma.

Wglądnąwszy zatem w istotę owych materyałów, z których się ma wyrabiać wewnętrzne życie narodu i wycisnąwszy treść owego życia, które nawzajem nowy materyał dla dalszego stonowi wyrobu: smutne odkryjemy prawdy, że te dwie przyczyny nawzajem na siebie działające nie są potemu, aby pożądane, co do prawdziwego człowieczeństwa postępu, zrodzić mogły skutki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pism.

Ziemiaństwo polskie, poema w czterech pieśniach, przez Kajetana Koźmiana; wydanie Edw. Raczyńskiego w Wrocławiu 1839., stronnic 228. (Cena 21 Złt. pol.)

Przedmowa wydawcy wzmiankuje, dla czego ten poemat już r. 1829. do druku oddany, teraz dopiero w całéj zupełności z druku wyszedł; następuje lista prenumeratorów, a potém Przemowa autora do Wieśniaków polskich, w któréj cel dzieła w krótkości skreślony:

»Pieśni o roli, trzodach, sadach, gajach i używaniu tych dostatków wiejskich; pieśni, które malują obyczaje, zatrudnienia, przygody, zabawy, uciechy, zgoła skromne i niewinne życie rólników; — komuż słuszniéj przypisane być mogą, jeśli nie wam, zacni wieśniacy polscy! Wy ściśle spojeni z naturą, najlepszymi będziecie sędziami jéj obrazów. Usiłowałem je zrobić tyle szlachetnemi, ile jest wasz stan wiejski; tyle pożytecznemi, ile wasze powołanie; tyle godnemi was, ile godni jesteście poważania, szacunku współziomków; tyle narodowemi, ile wy jesteście narodem. Wydacie wyrok, czy byłem szczęśliwy dopiąć tego niełatwego celu. A jeżeli rozrzucone w nich przestrogi ulżą waszéj pracy, opisy przyniesą w troskach pociechę; rady i wspomnienia natchną silniejszém zamiłowaniem téj ziemi, którą własnemi rękami uprawiacie, i tego stanu niewinności i skromnéj prostoty, przez który usunięci od skażenia zachowujecie dotąd czerstwe i niezmienione naszéj ojczyzny rysy jeżeli kiedy dzieci wasze czytać, lub młodzież za pługiem powtarzać je będzie — o jakże nagrodzonym zostanę za kilkunastoletnią pracę moję.«

Jeszcze podobno żaden z naszych poetów nie obrał dziełu swemu tak szanownych i wdzięcznych mecenasów, jak autor niniejszego poematu: już sama ta myśl zdolna wzbudzić nie jedno poetyckie natchnienie, zdolna wywołać z dziejów przeszłości tyle pięknych i nauczających przykładów. Szkoda tylko, że biedni nasi wieśniacy ani wiedzieć będą o tak niesłychanym zaszczycie. Szanowny wydawca pragnąc powierzchowną okazałością wyrównać wartości dzieła, przysposobił je raczéj dla ozdoby pałaców, jak dla nauki i pociechy pracowitego naszego ludu, po którym przecie nikt wyciągać nie będzie, aby z widocznym uszczerbkiem swego dobytku 21 Złp. za ofiarowany sobie upominek płacił. Albo więc szczytna ta przemowa próżnym jest komplementem; albo sporządzićby należało inne wydanie dla ludu, exemplarz najwięcéj 2 Złp. kosztujący.

Po tym krótkim, ale prawie koniecznym wstępie, przejdźmy do samego Ziemiaństwa. Dzieło to, owoc kilkunastoletniéj pracy; *nonum*, ba, i dłużéj *pressum in annum; opus omnibus membris absolutum, limatissimum*, oczekiwane z początku za panowania jeszcze klassycyzmu, jako *non plus ultra* poetyckiego utworu, późniéj przez rozzuchwalony romantyzm spotwarzone odbiera w naszych czasach zasłużony, choć nie tak huczny poklask, jako płód znakomitego wieszcza, będący prawdziwém zbogaceniem literatury naszéj. Autor każdy nosi zwykle na sobie piętno czasu, do którego należy; ponieważ Koźmian jest wieszczem upłynionego już dla nas wieku, przeto wyrządzilibyśmy mu krzywdę, gdybyśmy poezyą jego z obecnego kierunku ruchu powszechnego uważać chcieli. Wypadałoby tu wykazać różnicę dawniejszéj od obecnéj poezyi, ocenić ducha zeszłego i teraźniejszego wieku, i dotknąć niektórych stron zbyt delikatnych; wolimy więc w takiém położeniu rzeczy stłumić w sobie odzywającą się do krytyki żyłkę, a rozwinąć w przeględzie cały wspaniały obraz ziemiaństwa:

Oto początek pieśni I.:

»Nie powstał nigdy we mnie zamiar tak zuchwały,
»Bym chciał sięgać po wieniec Wirgilego chwały;
»Żaden mu z śmiertelników nie wyrównał w rymie!«

(Rzymskiéj poezyi, nie cierpiącéj rymu, nawet w przenośni tym wyrazem oznaczać nie godzi się.) Zaraz po wstępie taki opis złotego wieku, a raczéj obraz historyczny rólnictwa polskiego:

Były i na téj ziemi saturnowe wieki,
Szumiały kłosem pola, złoto niosły rzeki,
Lipy miodem potniały, sad zdobił się kwiatem,
Płoniły się Tyryjskim jabłonie szkarłatem:
Błądzące po dąbrowach przy ciekącym zdroju
Trzody, na głos znajomy biegły do wydoju,
Igrały po pagórkach przypłodki dorodne:
Były i serca prawe i wioski swobodne.
Pod skromną strzechą szczęsnéj miernością prostoty,
Swoboda pracę, praca rozkrzewiała cnoty.
Ród kmiecia dawał króle, w nich wzór rządów błogich,
Bez napastnych celników, bez poborców mnogich.
Pług był dawcą dostatków, pług kraju puklerzem,
Rycerz oraczem, oracz stawał się rycerzem.
Wawrzynami okryte wracały do chaty,
Pruć własną dłonią zagon mężne Cyncynaty.
Przy ucztach Kurcyuszów w ubogiéj lepiance,
Niosły hołd pokonanych narodów posłańce.

W następującym wierszu: »bluszcz zakwitnął na poety skronie« błędna forma; bo jeżeli skroń, więc na skroni; a jeżeli skronie, to na skroniu.

Lecz ukazał się zbytek, a z nim nieszczęść brzemię!
Skromnych ojców skażone wyparło się plemię;
Weszła chciwość i wieki żelazne przywiodła;
Oręż wziął znamię władzy, pług niewoli godła.
Załamał ręce rólnik i złorzecząc obu,
Próżno cienie Kaźmierza wywoływał z grobu;
Nikły skargi w powietrzu, a gwałt bez przeszkody,
Żywiciela narodu wtrącił między trzody.
Jękneła sprawiedliwość na tyle zakały,
Łzy litości na martwém licu skamieniały;
A odtąd choć się lemiesz powierzchni dotyka,
Brzydzi się grunt zaklęty znojem niewolnika.
Hojne dłonie siewacza bujna rola zdradza,
Bo ziarno łzą skropione w oset się wyradza.

Piękny obraz doli naszych wieśniaków, ożywiający się coraz bardziéj, w miarę jak autor, własną imaginacyą bogaty, puściwszy martwe wzory, staje się oryginalnym i o swoich rzeczach z własnego pisze natchnienia. Ogólne wrażenie rozbraja wszelką drobiazgową krytykę, jak n. p. zbyt częste antytezy, mianowicie w wierszu:

Swoboda pracę, praca rozkrzewiała cnoty, albo
Rycerz oraczem, oracz etc.

Następnie autor zapalony miłością ludzkości, radzi pług postawić przy tronie, a potém przytacza przykład szlachetny nieśmiertelnego Staszica.

Mędrcu! i rólniczego dobroczyńco rodu!
Pójdźmy do Hrubieszowa kwitnącéj ustroni,
Ty z ustawą swobody, a ja z fletem w dłoni;
Obraz uszczęśliwionych pienia moje wzbudzi.
Kupiłeś niewolników, zostawiłeś ludzi.
Któryż z nich na twój widok, czułą łzę utrzyma,
Nie miało dzieło wzoru, i słów wdzięczność nie ma.
Tobie matki z pogodną zajdą drogę twarzą
I sprawcę szczęścia drobnym niemowlętom wskażą:
Nie zrażaj się, jeżelić padną na kolana,
Nie wstydzi ten hołd ojca, który wstydził pana.

Po tym historycznym wstępie, zaczyna autor swe pienie od opisania pierwszéj pracy rolnika:

Gdy skowronek nad brozdą rodzinną zanuci,
I bocian klekocący na gniazdo powróci,
I żórawie w powietrzu przez krzyki radośne
Głoszą, w szacie zielonéj wracającą wiosnę;
Oto jest chwila pracy.

Wylicza wszystkie prawie ważniejsze wiosenne zatrudnienia rólnika, a zatrzymawszy się dłużéj nad grodzeniem płotów, skreśla obraz marcowéj i kwietniowéj u nas pogody:

Sieje wonne fijołki, ze snu budzi zdroje,
Lekkich motylów ciepłym tchem rozpładza roje.
Pieści zielone trawki; — i téj saméj chwili,
Marszczy je siwym szronem, albo śniegiem chyli.

Następuje apostrofa do wiosny, skargi na jéj niestałość i prośba, aby jak najprędzéj na obnażone ziemi łono, na gaje i łąki, zieloną rozpostarła szatę. Opisuje daléj uprawną rolę, zdatną do zasiewu, a potém wylicza różne gatunki zboża:

Czy ją mlecznéj pszenicy zdobić mają kłosy,
Czy na niéj zaszeleści jęczmień złotowłosy,
Czyli miękki len jasne rozwinie błękity,
Albo proso zaszumi błyszczącemi kity,
Czy wznijdzie żółty rzepak, czyli bob kosmaty,
Albo gryka śnieżnemi woniejąca kwiaty etc.

Co tu sztuki, a jednakże naturalność i prawda w obrazie. Pomimowolnie nawija nam się do porównania podobne miejsce naszego arcywieszcza Adama:

Tym czasem przenoś moję duszę utęsknioną
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitém,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niéj z rzadka ciche grusze siedzą.

Następnie zaleca autor wyplenianie chwastów, trzebienie krzewów, czyszczenie zboża z kąkolu, opowiada daléj, zkąd zioła i natrętne chwasty obsiadają pola, jak jedne z drugich rozradzają się istoty. Zachęca do pilnego rozważania własności roli i roślin, zachowując potrzebne przemiany, a daléj daje ów sławny opis kartofli:

Między krzewy, któremi ziemia twoja słynie,
Pierwszeństwa dobroczynnéj nie odmów roślinie,
Coś ją z nowego świata otrzymał w zdobyczy,
Dar swobodnéj natury, płód ziemi dziewiczy.
Czy śnieżny kwiat rozwinie, czy w jasne błękity,
Czy złotem lub purpurą owoc zdobi skryty,
Czy w nim ujrzysz kształt płaski, okrągły lub wązki . .

a opisawszy sadzenie, chodowanie kartofli, tak nakoniec ich użytek wychwala:

Nie daremny trud będzie, nie próżne staranie,
Obfity zbiór za wszystkie razem ziarna stanie.
Bije grad owoc w sadach, bije w polach kłosy . . .
Krzewu jednak, co w rolę skrył owoc poziomy,
Nie dotknie srogość wichrów, nie dosięgną gromy;
I zwycięzki na każde (wszelkie) klęski i przygody,
Nakarmi twoje dzieci i utuczy trzody.

Długo przodkowie nasi, mówi daléj poeta, obeznańsi ze sławą, niżeli z twardą pracą, gardzili kartoflami i odmawiali im u siebie przytułku, aż w reszcie poznawszy się na téj dobroczynnéj roślinie, zajęli się jéj uprawą. Dla tego zachęca do uroczystéj wdzięczności za ten dar nieoceniony:

. . . . pal wonne ofiary
I odkrytemu światu dziękuj za dwa dary,
Za dwa dary najdroższe dla ludzkiego rodu,
Za przytułek w nieszczęściu i tarczę od głodu.

Po téj epizodzie o kartoflach przechodzi autor do uprawy roli, czyli do órki: jak orać? gdzie w zagony, a gdzie w składy; gdzie bić rowy i przecznice, aby pola od wylewów wiosennych i niszczących powodzi ochronić; w końcu skreśla piękny obraz burzy:

Czasem w gorące lato chmury na zachodzie
Huczą i ognistemi przerażają łuny:
Drży w gruncie ziemia, jęczą obydwa bieguny,
Szumią wichry szamocąc i kłosy i drzewa,
Burza zerwane liście i źdźbła rozwiewa;
Uchodzi pasterz zdala, biegną pędem stada,
Nakoniec ćmi się okrąg i ulewa spada.
Deszcz strumieniami leje, z gór ryczą potoki,
Ognisty grom po gromie rozdziera obłoki:
Walą się w puszczach dęby z ogromnym łoskotem,
Wypada zwierz na drogi ogłuszony grzmotem;
Pieniące się powodzie przepełniają rowy,
Pędzą rzeki po brozdach i nurt porzą nowy;
Aż i strumyk, co wilżył cichy brzeg zagrody,
Kiedy go zapienione wyprą z łoża wody,
Walkę wydaje mostom, silne tamy zrywa,
I oto w mętnych wirach cała wioska pływa.

Spustoszenia, przez powódź zrządzone, przenoszą myśl poety do opisu powszechnéj powodzi na ziemi, któréj skutkiem powszechne zburzenie ziemi i nowa formacya jéj powierzchni: piaski, iły, glina, wapienne kamienie i warstwy szczątków roślinnych. Z téj własności rólnik korzystać powinien, stósując do niéj uprawę. Przechodzi następnie do opisania narzędzi rólniczych: pługa, sochy, radząc je zastósować do własności gruntu, aby ulżyć ciężaru pracowitym wołom: pługiem doliny i ciężkie grunta, sochą piaski orać każe. Rzuciwszy myśl nadania polskiemu pługowi kształtniejszéj postaci i lekkości, przypomina rólnikom, aby się wcześnie opatrywali w potrzebne rólnicze narzędzia; każe daléj poznawać rodzaje ziemi i do nich stósować ziarno wysiewu; a po trzechkrotnych żniwach radzi zamieniać rolę na ugór, ściernie na pastwiska. Maluje potém w krótkości bujność Ukrainy i Wołynia, ziemi sandomirskiéj; niepłodność Pińszczyzny, Mazowsza, zachęcając do zwyciężania za pomocą przemysłu przeszkód natury, zwilżania suchych, osuszania mokrych gruntów, a szczególnie upładniania onychże przez naturalne lub kunsztowne nawozy. Aby uniknąć szronów lub szkodliwszych jeszcze upałów słońca, radzi wcześnie krzątać się koło pracy:

Skoro się waga słońca na niebie przechyla.

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Słowaczyński wydał drugi tomik swéj statystyki pod tytułem: *Statistique générale de la Pologne prusienne comprenant la description du grand duché de Posen et de la Prusse polonaise* — pożądany rodzaj dzieła, mniéj pożądany sposób jego obrobienia, w którym wielki brak dokładności przebija. Uwaga że »Notec jest Nilem księstwa poznańskiego«, charakteryzuje ów często za szumny sposób wystawienia rzeczy; a podana wiadomość, że w księstwie są trzy sądy: jeden dla szlachty *Oberlandesgericht*, drugi dla mieszczan *Stadtgericht*, trzeci nareszcie dla chłopów *Landgericht*, może dać wyobrażenie o niegruntowności w rozbieraniu sądowych i administracyjnych przedmiotów. (Z kores. pryw.) Pomimo tego jednak praca pana Słowaczyńskiego jest szacowną, a błędy i niedokładności wybaczyć możemy, wspomniawszy sobie, że pisze tak oddalony od kraju i od źródeł, z którychby dokładniejsze wiadomości czerpać mógł.

Uczony Michał Wiśniewski, professor przy uniwersytecie w Krakowie, przygotował do druku historyą literatury polskiéj w trzech tomach. — Tamże zacny i uczony pr. Paweł Czaykowski przełożył na język ojczysty o powinnościach Cycerona i w obszernéj rozprawie wykazał ducha wszystkich pism tego wielkiego mówcy.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*